

## Koniec leniuchowania

PIOTR MÜLDNER

Prawdę powiedziawszy, nad zmianą pracy pierwszy zaczął rozmyślać Bolek. Od trzech tygodni siedzieli na hali i nic nie robili, rzecz jasna z wyjątkiem gry w karty. Grali mianowicie w najgłupszą grę na świecie zwaną makao. Gra polega między innymi na tym, że się ciągnie karty z kupki, a także na tym, że się do drugiej kupki dokłada. Jak się skończy jedna kupka, odwraca się drugą i tak w kółko. Wygrywa ten, kto się pozbędzie wszystkich kart z ręki. Idiocyzm tej gry, jak każdej zresztą, wynika z tego, że karty są wciąż te same, nic z nich nie ubywa, ani nic im nie przybywa. Zmiana talii na nową, a czasem jest konieczna, bo karty brudzą się od rąk, wcale tego stanu nie zmienia. Znowu pięćdziesiąt cztery kartoniki z obrazkami, takie same, tylko trochę czystsze. Co innego – piłka. Potęga jest tylko w piłce.

Czasem bocznymi drzwiami wpadał Szeff, obchodził ich naokoło, mówił, że zaraz się zacznie i znikal. Tymczasem nic się nie zaczynało. Mijał czwarty głupi tydzień i nie zapowiadała się żadna zmiana. O ósmej naciskali guzik w czytniku, o szesnastej naciskali guzik w czytniku, i to było wszystko, czym zaświadczały swoją obecność w fabryce. A pośrodku hali stał stół, przy stole cztery krzesła i czajnik elektryczny. To było wszystko. Czasem Szeff ich pochwalil. Na pytania odpowiadał wykrętnie:

– Wy jesteście fachowcy! Fachowiec nie ma prawa się przemęczać.

I wychodził. Paranoja.

Więc pewnego dnia przy pierwszym rozdaniu Bolek zaczął mówić o zmianie pracy.

– Moja żona ma koleżankę, która ma kolegę, który ma siostrę, która ma fajną robotę.

– Miesiąc nie byłem na rybach – powiedział na to Waldek.

– No właśnie, dwa miesiące nie byłem na dyskotecce, tylko ciągle nam każą być w gotowości – mruknął Edek i walnął pięścią w stół, aż echo poszło.

– Co za robota? – zapytał konkretnie Maniek, ale nie bardzo był zainteresowany. – Jak nic się nie robi, to nawet wypłata jest nic niewarta.

Bolek wyrzucił dwie karty na kupkę.

– Robota jak robota. Nie wiem. Ale coś tam się na pewno robi. Mogę wam dać namiar na tę kobitkę. Podobno urodziwa.

– Przynajmniej byłoby na co popatrzeć – dodał Waldek.

– A ja myślę, że to dziwne, że nas nie przenoszą na inny wydział – odezwał się filozoficznie Edek.

– W czym jesteśmy tak słabi, że nas tu trzymają? Tak się zastanawiam – powiedział Bolek.

Waldek się zamyślił. Widać błędził myślami wokół taktyki.

– Gdyby trener wystawił Kawiara, mogłaby być bramka, a tak: przegraliśmy. I ciągle będziemy przegrywać – mruknął.

– Myślisz, że nas trzymają dla naszych wad? – zapytał Edek.

– Że ty jesteś palant, to wszyscy wiedzą. Ale reszta? – ryknął grubym śmiechem Bolek.

Edkowi jednak nie było do śmiechu. Tworzył hipotezę..

– Faktycznie. Nie może być tak, że jesteśmy tacy sami, jak reszta załogi. Jesteśmy lepsi.

– W czym ty jesteś lepszy... – zawahał się – albo gorszy od nich? W niczym. Bierzesz te same pieniądze.

– Po prostu biurokraci z Brukseli – mądrzył się dalej Edek. – Usiadł urzędnik i wymyślił dla nas przerwę w pracy.

Bolek jednak myślał o czymś innym. Doszedł do wniosku, że co do reprezentacji Waldek ma rację.

– To jest ewidentna wina trenera – oznajmił. – Ja bym na Chorwację ustalił inny skład, ale trener oczywiście wie lepiej. Tylko Kawiara umie strzelać gole. Na prawej pomocy musi być Matula. Kawiara bez Matuli nawet nie zbliży się do pola karnego...

Nagle urwał. Rozległ się łomot, otworzyły się wrota u czola hali i mocnym krokiem weszła spora grupa mężczyzn. Wszyscy byli ubrani na ciemno, głównie w marynarki, a może – jak się w pierwszej chwili wydawało – w smokingi. Ale to tylko takie wrażenie z powodu muszki, którą miał pod szyją najwyższy. Jeden był otyły, pięciu chudych jak szczapa.

– Ki diabeł! – szepnął Waldek. – Co to za impreza?

Nie uzyskał odpowiedzi, bo na czoło grupy wysunął się Szef hali i rozkazał:

– Panowie, wstawać. Koniec leniuchowania.

– Ten gruby wygląda jak prezes związku piłki nożnej – zdążył jeszcze powiedzieć Maniek, a po twarzach kolegów przebiegł ironiczny uśmiešek.

Natomiast facet z muszką to na pewno profesor. Dumnie spoglądał na siedzących przy stole robotników. Chyba uwierał go sztywny kołnierzyk, bo głowę trzymał prosto, jak na patyku. Bolek, Maniek, Waldek i Edek zerwali się z krzeseł i uklonili z szacunkiem. Maniek nawet wyjął rękę z kieszeni, gdyż miał matkę, która go tego nauczyła.

Za przybyłymi pojawiły się ekipy transportowe. Nie minęła godzina i prawie wszystko było wiadomo. Wjechały wózki z aparatami, materiałami i prefabrykatami, a posługacze szybko je rozstawiali na hali, tak że w kilka chwil olbrzymie pomieszczenie stało się małe. Zamknięto z chrzęstem bramę i jeden z gości rozłożył na stole teczkę z dokumentacją. Towarzystwo zgodnie się nachyliło jak sztab przed bitwą.

– Szanowny panie kierowniku, szanowni panowie, na wstępie najserdeczniej przepraszamy za miesięczne opóźnienie – irytującym tonem wykładowcy zagaił facet, który wyróżniał się tym, że miał czarne okulary, jak gangster, i przeraźliwie szybko żuł gumę. – Musieliśmy poprawiać projekt spektroskopu i zmieniła się konstrukcja obudowy. Stąd taka zwłoka.

Następnie Gangster przeszedł do sedna sprawy.

– Który z panów jest od mikrospawania? – zapytał.

– Berdyczak – powiedział Szef i spojrzał na Waldka.

– W argonie potrafi?

– Jak dobry sprzęt, to potrafię i z wodorem – mruknął niezadowolony Waldek. Pytanie najwyraźniej go dotknęło, bo nie było lepszego spawacza niż on. – Ale jak nie trzeba, to nie muszę – wzruszył ramionami.

– Z wodorem? No i dobrze, bo to tytan. Jak pan przegrzejesz materiał, to cała robota na nic. Wie pan o tym?

– A jak się nie przegrzeje, to co będzie? – zapytał retorycznie Waldek i usiadł na znak, że nie ma nic do dodania.

Gangster usiadł obok Waldka, również na znak, że i on skończył, a funkcję prowadzącego przejął inny, wyglądający na portiera, który się przebrał na ślub. Czerń marynarki, biel koszuli, błękit krawata. Czerwona twarz, obwisłe wąsy i tłusty podbródek. Szef hali stał z tyłu i tylko obserwował. Chłopcy wiedzieli, że pamięć ma fotograficzną, więc starali się specjalnie nie dokazywać. Odpowiadali tylko na pytania, i to możliwie grzecznie.

Czerwony sięgnął po dokumentację, przewracał kartki i objaśniał, a Bolek w mig się zorientował, że to będzie jego działka. Przysunął się do Czerwonego, żeby nie uronić ani słowa.

Wtem Czerwony przerwał lekcję i zwrócił się do Profesora, tego w muszce.

– A pan, panie Władziu, co tutaj sterczy? Grzej pan silnik, bo zaraz jedziemy do Płocka.

Profesor skinął grzecznie głową i ruszył w stronę bocznego wyjścia.

– Nie wszyscy muszą wiedzieć, co tu robimy – powiedział Czerwony, kiedy kierowca zatrzasnął drzwi za sobą. – A teraz do rzeczy. Maszyna sterowana automatycznie wymaga ręcznej korekty. Wie pan o tym? – zapytał.

– Nie wiem, może wiem – odparł Bolek.

– Bo to są krzywizny w trzech wymiarach. Musi pan zrozumieć te rysunki.

Bolek tylko zachichotał, na co Szef nerwowo zakaszłał.

– Dobrze. Czyli pan rozumie. Omówmy sprawę dalej – rzekł Czerwony i wskazał na swego kolegę.

W ciągu następnej godziny instrukcje otrzymali Maniek, który był od frezowania, szlifowania i poleru, oraz Edek, którego zadaniem było sprawdzanie parametrów. Właśnie z Edkiem był największy problem, bo ledwie rzucił okiem na dokumentację, od razu zauważył, że nie zgadzają się jednostki.

– Jak mam to przeliczać? Jedno jest w calach, drugie w milimetrach – powiedział.

Goście spłoszeni spojrzeli po sobie.

– Wszystko się zgadza, to w calach, a to w milimetrach. To było projektowane w dwóch różnych pracowniach. Ale współpracujących.

– A te pracownie to nie są ze sobą aby skłócone? – zapytał Edek.

– Nie, skądże – zaprzeczył Czerwony. – Prawda, panie docencie? – zwrócił się do Gangstera, który skinął głową.

– Jeżeli pracownie są, to raczej w zмовie – uśmiechnął się inny gość, zadowolony z dowcipu.

– Ale konkurują, tak? – Edek nie dawał za wygraną. – Już raz tak było. Wysłali sondę na Saturna, czy jakoś tam, na Tytana, i sonda przysyłała głupie wyniki, bo jeden komputer liczył w calach, a drugi w milimetrach. A potem będzie na mnie. Mojej zgody na to nie ma.

– Ja będę przeliczał – uciał dyskusję Szef hali. – Ty masz robić swoje, pilnować parametrów.

Czerwony z niepokojem popatrzył na Edka. Już chciał coś powiedzieć, ale nagle się powstrzymał. Nie bardzo wiedział, jak się zachować, bo tarł ręce jedna o drugą. Gangster zatrzymał ruchy zuchwą, jakby miał wypluć gumę. Wreszcie odezwał się facet w swetrze.

– Skąd pan o tym wie?

– Ja? Z Internetu. Chyba że pan wie coś, czego nie wiem ja.

Przybysze byli wyraźnie skonfundowani, ale już nic więcej na ten temat nie powiedzieli. Tylko Czerwony zaczął mówić jakby na zakończenie.

– Wielce szanowni panowie – zaczął z emfazą. – Od tego zależy powodzenie misji i prestiż naszej uczelni. Więcej powiem, prestiż Polski.

– Nie przesadzaj – mruknął Sweter.

– Wszystko jedno – kontynuował Czerwony. – Wiedzą panowie, co mają robić, a my będziemy stale w kontakcie. Możecie się spodziewać naszych wizyt o każdej porze...

– ...dnia i nocy – dokończył radośnie Szeff hali.

– Albo i częściej – rzekł Sweter i zdjął okulary.

I poszli. Razem z Szeffem. Chłopcy zostali sami. Rozglądali się niemrawo po hali, która została zastawiona sprzętem, prototypami i materiałami. Bolek uderzył ręką w stół, aż podskoczyły teczki z dokumentami, ale echo nie odpowiedziało. Znikło. Tylko jakiś ptak poderwał się pod stropem, głośno trzepocząc skrzydłami przeleciał na drugą stronę poddasza i usiadł. Gołąb, siwy jak dyrektor fabryki.

– Te ptaki trzeba zlikwidować – powiedział Maniek. – Jeszcze nam który nasra gdzie nie trzeba.

Znowu zapadła cisza.

Wreszcie ruszyło Bolka. Ten zawsze zaczyna, i to od razu porusza taki problem, który budzi emocje.

– Słyszeliście? W dzień i w nocy.

– Tak, no i co z tego?

– Czyli mamy zaiwaniać dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Kto powiedział?

– Szeff powiedział.

– Nie powiedział. Czerwony powiedział, że „o każdej porze dnia i nocy będą wpadać” – upierał się Bolek. – Ja się od razu kapnąłem, co jest grane.

– Z czym się kapnąłeś? Nic nam nie powiedzieli. O jakiejś uczelni, o jakimś tam Plocku, powiedzieli nam wszystko i nic – perorował Maniek.

– To ma być aparat na stację orbitalną. My mamy zrobić do niego obudowę z tytanu. Nieźleśmy się wpakowali.

– E tam, nie takie rzeczy kładliśmy na obie łopaty - mruknął Maniek. – Siadajmy.

Usiedli. Karty schowali do szuflady. Najpierw musieli się przyzwyczać do myśli, że dobry czas nieróbstwa się skończył. Nie było to takie proste. Kiedy nie ma pracy, chciałoby się robić od rana do wieczora i przez całą noc, ale jak jest, wszystko zaczynało przeszkadzać.

Gołąb znowu latał pod dachem i to ich denerwowało.

– Taka organizacja w tej fabryce – mruknął Edek. – W normalnym kraju na myszy sprowadza się koty, a na gołębie sokoly.

– Za dużo wiesz, to się źle skończy – mruknął Maniek. – Lepiej się zastanów, jak tu się zorganizować, żebyśmy przez tą robotę nie stracili mistrzostw Europy.

– Mistrza nie zdobędziemy na pewno – odparł ponuro Edek. – Nie z Papelniakiem na bramce. A trener powołał Papelniaka. – I dodał po chwili – zauważyliście, że ci z uczelni nie podali terminu?

Zamyślili się, bo wszystko zależało od terminów właśnie. Maniek wyjął kalendarzyk i zaczął sprawdzać, w których dniach i o której godzinie odbywają się mecze fazy grupowej.

– Może by... wiecie, jak to zrobić? – powiedział gwałtownie, jakby nagle coś odkrył – może byśmy przychodzili do roboty nie na ósmą, tylko na szóstą? Szeffowi wszystko jedno. Może da się namówić?

– O to chodzi, że jemu nigdy nie jest wszystko jedno – zaproponował Edek. – Ten kutas zawsze jest przeciwko. Jak ty to sobie wyobrażasz? Że on dla pilki nożnej będzie wstawał o dwie godziny wcześniej? To galareta nie facet, on się w ogóle nie zna na pilce.

Pomysł był dobry. Pomysł był doskonały. To był jeden z najlepszych pomysłów, jaki im kiedykolwiek przyszedł do głowy. Ale piekielnie trudny do wykonania. Szef hali był człowiekiem niezwyklej delikatności i dbałości. Golił się przez godzinę. Kąpał dwie, obiad jadał trzy, spał dziesięć. Żona na dobranoc depilowała mu włosy wystające z nosa. Może marzył, że kiedyś wystąpi w filmie, może liczył na mile odbicia w lustrze?

– Dobra, trzeba działać, bo wszystko nam się wymknie spod kontroli. – powiedział Waldek – Bolek, masz w komórce numer szefa? Wezwij go, tylko inteligentnie.

Bolek wygrzebał z kieszeni telefon i wstukał numer. Pozostali w napięciu patrzyli na jego miny, bo na przemian nerwowo się krzywił i sztucznie uśmiechał, tak jakby stał przed Szefem i z lękiem patrzył mu w twarz.

– Spokojnie – szepnął Waldek – włącz głośnik!

– Szefie, mamy problem, bardzo ważny – wystękał Bolek do mikrofonu i wcisnął klawisz głośnika, tak żeby pozostali słyszeli całą rozmowę.

– Mam naradę – usłyszeli dudniący głos Szefa.

– Narada nie narada – Bolek spojrzal na kolegów – a my tu mamy poważny problem i chcielibyśmy, żeby Szef szybko do nas przyszedł.

W głośniku pstryknęło, Szef bez słowa się wyłączył.

Bolek schował telefon, a kierownik już wchodził do hali. Zapewne był niedaleko, skoro jeszcze dopinał pasek od spodni. Podciągnął zamek błyskawiczny. Kilkoma ruchami tułowia ułożył się wewnątrz ubrania.

– No, co jest? – zapytał wytrącony z równowagi. Wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka i jeszcze mu się kręciło w głowie.

W grę wchodziła nie tylko czekająca ich praca po nocach. W grę wchodziło coś znacznie ważniejszego – wolny czas każdego popołudnia, przez cały czerwiec, aż do meczu finałowego. A że tylko Waldek umiał negocjować, koledzy jego wypchnęli na przód.

– Więc co jest? – powtórzył Szef, patrząc gdzieś w bok, żeby ominąć wzrok Waldka.

– A to jest, że Czerwony się sypnął, niestety – odparł Waldek.

– Jak to się sypnął? – Szef jeszcze się nie przebudził z odrętwienia. – Jaki Czerwony?

– Ten od spawania.

– Profesor Andrzej Jacek Bielecki.

– Niech mu będzie Bielecki. Sypnął się, że chodzi o Saturna.

– Cholera, jak to się sypnął?

– Jak ja mówilem o jednostkach, to Czerwony aż pobladł. Bo się kapnął, że my wiemy.

– A co wiecie? – zapytał ostrożnie Szef i przetarł dłonią spocone czoło.

To był moment kluczowy. Teraz trzeba zagrać bardzo precyzyjnie, z dużą znajomością psychologii władzy.

– Jak Szef sobie życzy, to my możemy nic nie wiedzieć. To zależy wyłącznie od Szefa – powiedział Waldek i rozejrzał się triumfalnie po kolegach. Ci zaś przybrali miny idiotów przyłapanych na myśleniu. Wodzili oczami po suficie.

– Co wiecie? – zapytał Szef w nadziei, że jednak nic nie wiedzą.

– To, co trzeba. Daje się nam wyjątkową robotę i ukrywa się przed nami, co to za robotą. – Waldek przerwał na chwilę, żeby uzyskać jeszcze lepszy efekt. – A to SzeF nie wie, że takie ogłupianie pracowników rzutuje na jakość?

– Co rzutuje! – żółdkował się szef. – Macie robić według planu i tyle. Reszta was nie obchodzi.

– Obchodzi.

– Dobra, nie mędrkuj, Jankowski, tylko gadaj w czym rzecz, bo muszę iść.

– A kogo powiesz za jaja, jak coś się nie uda? Chyba nie nas, drogi SzeFie. Urządzenie do satelity, tak? SzeF za wszystko odpowiada. My nie.

– Nic podobnego – SzeF zaprzeczył kategorycznie, ale zarazem, jak to on, tak niewyraźnie, że poczuli się rażniej. – Więc o co chodzi?

– Powiem, jak SzeF tak bardzo chce. Powiem tak: od jutra przychodzimy na szóstą. Punkt szósta rano.

– Regulamin mówi, że praca zaczyna się o ósmej – odparł SzeF i już się zabierał do wyjścia, kiedy Waldek mocnym chrząknięciem osadził go w miejscu.

– Co jeszcze? – mruknął tamten.

– SzeF też z nimi leci? Może na Marsa, ha, ha, ha? – ryknął śmiechem Waldek.

– Panowie, to misja! – wykrzyknął SzeF i ugryzł się w język. Czuł, że powiedział o jedno słowo za dużo.

– Misja? A co to za obudowę będziemy robili? Do czego ta obudowa? – pytał Maniek. – A co będzie, jak ta obudowa nam się nie uda?

SzeF musiał zareagować. Agencja kosmiczna nie przypadkiem wybrała do tego zadania właśnie tę fabrykę. A jeśli wybrała właśnie tę fabrykę, to właśnie razem z załogą i właśnie razem z SzeFem hali i jego pracownikami. A jeśli tak, to wraz z jego interesem, prywatnym i służbowym. Od ich milczenia zależał autorytet fabryki.

– O siódmej – odparł po chwili.

– Za późno – nie rezygnował Waldek. – Jak o siódmej, to z niczym nie zdążymy. Musi być szósta.

– Po nocach też będziecie robić. Właśnie ustalam grafik. – SzeF nie dawał za wygraną, ale, jak to on, znowu trochę spuścił z tonu. – Szósta trzydzieści.

– Szósta piętnaście i załatwione. SzeF wie, jak jest. Pan dyrektor nas potem zapyta, co my wiemy o solidności SzeFa, czy my na coś narzekamy, czy wszystko gra. Tak to jest – powiedział z troską w głosie Waldek.

– Dobra. Szósta piętnaście, ale ani minuty wcześniej. – SzeF wytarł czoło. Nerwowo poruszał ramionami, bo nagle przestał się mieścić w ubraniu. Robiło mu się duszno.

– Otworzyć okno? – zapytał Edek usłużnie.

No cóż, SzeF wyczuł kpinę, wołał jednak nie odpowiadać. Odetchnął z wyraźną ulgą. Na jego twarzy pojawiły się oznaki zmęczenia, przymknął oczy. Miał dosyć tej walki, a jednocześnie uznał, że robotnicy dotrzymają umowy. Będą solidni, będą trzymać buzię na kłódkę. Szybkim krokiem skierował się ku drzwiom. Kiedy zatrzasnął je za sobą, chłopcy rzucili się do stołu, jednym ruchem ręki zepchnęli dokumentację na podłogę i rozłożyli schemat „Mistrzostw Narodów Europy”. Przekrzykiwali się, oceniali zawodników i trenerów. Każdy miał swoją teorię i swoją rację.

– Ja wiem swoje – oświadczył Bolek. – Jeżeli trener na Chorwatów wystawi Kawiara, a na obronie Malewskiego, to wygramy.

– Spokojnie, panowie – dodał Waldek. – Do pierwszego meczu jeszcze tydzień.

– Byleby Polska wyszła z fazy grupowej – powiedział Maniek – a co będzie w ćwierćfinale, to na razie lepiej nie myśleć.

Tak więc wszystko poszło zgodnie z planem. Już następnego dnia od szóstej do ósmej mieli spokój. Jak było do przewidzenia, Szeff przychodził dopiero przed dziewiątą. Można było i pograć w makao, i przedyskutować mecze, i napić się porannego piwa. Bez lęku, że ktoś ważny nagle zajrzy do hali i wyrzuci z roboty. A czasem potrafią tak zrobić: wyrzucić dosłownie za nic, żeby tylko pokazać, kto tu rządzi.

Piotr MULDNER (1946) mieszka w Warszawie. Pracownik naukowy Uniwersytetu Medycznego i Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wszechnickiego. Całe życie był lekarzem, a także pisarzem. Autor poezji, opowiadań, powieści, dramatów radiowych. Wydał kilkadziesiąt książek, ostatnio tom opowiadań *Raz jeden jedyny* (2007) i *Wielki słownik frazeologiczny języka polskiego* (2003). [http://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr\\_M%C3%BCldner-Nieckowski](http://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr_M%C3%BCldner-Nieckowski)

**Pologne**

## Fin de glander

PIOTR MÜLDNER

À vrai dire, Bolek fut le premier à envisager de changer de travail. Depuis trois semaines, ses camarades et lui restaient à l'atelier sans rien faire... sauf taper le carton, évidemment. Ils passaient leur temps au plus idiot des jeux appelé Macao qui consiste à prendre des cartes sur un tas pour en jeter sur un autre. Quand le premier paquet est épuisé, on retourne les cartes du second et on recommence en sens inverse. Puis, on recommence. Le gagnant est celui qui se défausse de sa main. La débilite de l'exercice vient de ce que les cartes sont toujours les mêmes, que rien ne se crée, rien ne se perd. Parfois, il faut ouvrir un nouveau jeu de cartes quand les anciennes sont abimées parce qu'elles sont passées par trop de mains, mais rien ne change. Cela fait toujours cinquante quatre rectangles avec des dessins à l'identique, mais juste un peu plus propres...

Le football, c'est autre chose. Ah oui, il y a de la puissance dans ce jeu là !

Parfois, leur chef faisait irruption par une porte latérale, il tournait autour d'eux et disait que le travail arrivait. Rien n'arrivait, pourtant. Une quatrième semaine débile passa sans aucun changement à l'horizon. À huit heures, ils appuyaient sur le bouton de la pointeuse ; à seize heures, ils pointaient à nouveau et rien d'autre ne témoignait de leur présence à l'usine. Au centre du grand atelier, il y avait une table avec une bouilloire électrique posée dessus et quatre chaises qui l'entouraient, rien d'autre. Parfois, le chef leur faisait un compliment, mais esquivait leurs questions :

« Vous êtes des spécialistes, voyons ! Un spécialiste, cela se ménage ! » disait-il ; après quoi, il sortait vite. C'était fou !

Mais un matin, au moment de la première distribution de cartes, Bolek parla de se chercher un autre travail.

« Ma femme a une copine qui a un ami qui a une sœur qui recrute pour un boulot sympa.

— Un mois que j'suis pas allé à la pêche, dit Waldek.

— C'est vrai, moi ça fait deux mois que j'suis pas sorti en boîte, vu qu'on doit être prêt au cas où le travail arriverait, marmonna Edek avant de taper du poing sur la table un coup si fort que le vaste hall d'assemblage en résonna.

— Quel boulot ? demanda Maniek sans pour autant être vraiment intéressé. Quand on fout rien, le salaire vaut rien non plus », ajouta-t-il.

Bolek se défaussa de deux cartes.

« Le boulot, c'est jamais qu'un boulot. J'sais pas. Mais la meuf doit fabriquer quelque chose. Je peux vous filer le contact. Paraît qu'elle est gironde.

— Au moins, on pourrait se rincer l'œil, commenta Waldek.

— J'me dis comme ça que, c'est bizarre qu'on nous envoie pas sur un autre poste, fit Edek le raisonneur.



— En quoi on serait pas assez au point pour qu'on nous garde ici comme ça ? J'm'le demande, dit Bolek.

— Que toi t'es une tête de buse tout le monde le sait. Mais pas nous autres tout de même ? » fit Bolek avant de partir d'un gros rire.

Edek n'avait pas envie de plaisanter. Il commençait à échafauder une hypothèse...

« C'est un fait. Pas possible qu'on soit comme les autres ouvriers de l'usine. On est meilleurs. En quoi est-ce qu'on est meilleurs... ? » Là, il eut une hésitation et ajouta : « ou moins bons ? En rien. On est payé pareil. Ça doit être les bureaucrates de Bruxelles, poursuivit-il toujours aussi discuteur. Un fonctionnaire assis à son bureau a décidé qu'il fallait nous mettre au repos. »

Bolek, quant à lui, pensait à tout autre chose. Il se disait que Waldek avait raison pour la sélection des joueurs de l'équipe.

« L'entraîneur se trompe à coup sûr, déclara-t-il. Contre les Croates, moi, je ferais un autre choix, mais un entraîneur, ça sait toujours tout, bien sûr. Pour tirer des buts, y'a que Kawiar. En plus, sans Matula en ailier droit, Kawiar n'arrivera même pas à s'approcher de la surface de réparation... »

Bolek s'interrompit. Les portes du vaste hall d'assemblage venaient de s'ouvrir à grand bruit tandis qu'un groupe d'hommes entra. Tous étaient en tenue sombre, ils semblaient porter des vestons, ou était-ce des smokings ? Non, ce n'était qu'une impression à cause du nœud papillon qu'arborait sous son menton le plus grand d'entre eux. L'un de ces types était très gros, les cinq autres étaient maigres comme des clous.

« C'est quoi, ce foutoir ? » fit Waldek à voix basse.

Il ne reçut aucune réponse car le chef du hall d'assemblage venait d'apparaître à la tête des visiteurs et, déjà, il ordonnait :

« Debout, messieurs ! Fini de glander.

— Le gros ressemble au Président de la Fédération polonaise de football », parvint encore à dire Maniek et cela suscita un sourire ironique chez ses collègues.

En revanche, le type au nœud papillon devait être un professeur. Il arborait un air altier en regardant les ouvriers assis autour de la table. Le col raide de sa chemise devait le gêner parce qu'il tenait la tête très droite. Bolek, Maniek, Waldek et Edek bondirent de leurs chaises pour saluer poliment. Maniek alla jusqu'à sortir la main de sa poche parce que sa mère lui avait appris les bonnes manières.

Une équipe de transport de matériel suivit le premier groupe d'arrivants. Une heure ne s'était pas écoulée que tout fut clair. Des chariots arrivèrent avec des appareils, des matériaux et des pièces préfabriquées qui furent déchargés et installés dans l'atelier par les convoyeurs. En quelques instants, l'énorme hall eut vite l'air de ne pouvoir tout contenir. La grande porte fut refermée avec fracas et l'un des types posa sur la table des dossiers. Tout le monde se pencha sur la documentation avec l'application d'un état-major avant une bataille.

« Monsieur le Directeur, messieurs. Avant tout chose, pardonnez-nous ce retard d'un mois, déclara du ton désagréable d'un pédagogue le type aux lunettes noires qui mâchait du chewing-gum et avait l'air d'un gangster. Nous avons été obligés de corriger les plans du spectroscope et le format de la paroi du module en a été modifié. D'où le retard. »

Après cela, Gangster en vint au sujet :

« Lequel de vous, messieurs, fait les micro-soudures ?

— Berdyczak, dit le Chef qui regarda Waldek.

— À l'argon, il sait faire ?

— Avec du bon matériel, je sais aussi faire avec un peu d'hydrogène en plus, marmonna Waldek mécontent. (La question l'avait manifestement froissé parce qu'il n'y avait pas meilleur soudeur que lui). Mais si y faut pas, c'est pas obligé, ajouta-t-il en haussant les épaules.

— Avec de l'hydrogène ? C'est pas mal parce qu'il faut souder du titane. Si vous le chauffez trop, le travail est foutu. Ça, vous le savez ?

— Et si c'est pas trop chauffé, ça donne quoi ? » fit encore Waldek pour répondre quelque chose avant de s'asseoir pour signifier qu'il n'avait rien à ajouter.

Gangster s'assit près de Waldek, histoire de signaler que lui aussi en avait fini. Il céda la place à un autre visiteur qui avait l'allure d'un portier en tenue de mariage : veston noir, chemise blanche, cravate turquoise, teint cramoisi, moustache pendante et double menton grassouillet. Le chef se tenait derrière lui et ne faisait qu'observer. Ses ouvriers savaient qu'il avait une mémoire visuelle ; aussi faisaient-ils un effort pour se tenir tranquilles. Ils se contentaient de répondre aux questions, et le plus poliment possible encore.

Cramoisi prenait les dossiers, tournait les pages et donnait des explications. Bolek avait immédiatement compris que c'était sa partie, aussi s'était-il rapproché pour ne pas perdre un mot des paroles de Cramoisi. Mais là, ce dernier s'interrompit pour se tourner vers le type en nœud papillon :

« Vous allez rester planté là longtemps, Wladek ? Allez donc chauffer la voiture, on file sur Plock tout de suite après. »

Nœud-pap acquiesça d'un signe de tête poli avant de se diriger vers une sortie latérale.

« Il n'est pas nécessaire que tout le monde sache ce que nous faisons ici, déclara Cramoisi, une fois que son chauffeur eut claqué la porte. Passons aux faits. L'appareil dirigé par ordinateur doit être corrigé manuellement. Vous le savez ? demanda-t-il.

— J'sais pas ou peut-être que j'sais, rétorqua Bolek.

— Parce que les courbes sont en trois dimensions. Vous devez comprendre ces dessins. »

Bolek se contenta d'un petit rire auquel le chef réagit par une toux nerveuse.

« Bon. Donc, vous comprenez. Poursuivons », dit Cramoisi qui fit signe à son collègue de prendre le relais.

Au cours de l'heure qui suivit, ce fut Maniek qui reçut ses instructions quant au fraisage, polissage et vernissage. Vint ensuite le tour d'Edek. Il était chargé de vérifier les paramètres et il leva un lièvre de taille. À peine avait-il jeté un œil sur la documentation qu'il signala que les unités de mesure n'étaient pas toutes pareilles.

« Je suis supposé faire les calculs comment ? demanda-t-il. Une partie est en pouces, l'autre en millimètres. »

Les types se regardèrent inquiets.

« Tout est conforme, ce qui est en pouces comme ce qui est en millimètres. Ça a été élaboré dans deux bureaux différents, mais qui ont collaboré entre eux.

— Ils sont pas brouillés vos concepteurs, des fois ? demanda Edek.

— Pas du tout, rétorqua Cramoisi. N'est-ce pas, professeur ? ajouta-t-il en se tournant vers Gangster qui confirma d'un signe de tête.

— Ce serait plutôt des concepteurs comploteurs, ajouta l'un des types qui sourit parce qu'il était content de sa plaisanterie.

— Mais ils se font concurrence, non ? poursuivit Edek qui n’entendait pas lâcher le morceau. Y’a déjà eu un truc comme ça. Une sonde envoyée sur Saturne, Titan, ou j’sais plus où, qui transmettait des données complètement tordues parce qu’un de ses ordinateurs comptait en pouces et l’autre en millimètres. Et après, ça va être de ma faute ! Je ne donne pas là dedans !

— C’est moi qui vais convertir, intervint le chef. Tu te charges de surveiller les paramètres. »

Cramoisi regardait Edek d’un air soucieux. Il voulut dire quelque chose, mais se retint. Il ne savait pas trop quelle attitude adopter et se tordait les mains. Gangster arrêta de mastiquer comme s’il allait cracher son chewing-gum. Ce fut l’homme au pull qui se décida à prendre la parole :

« Vous savez ça comment ?

— Moi ? Par l’Internet. À moins que vous sachiez quelque chose que j’sais pas. »

Les visiteurs étaient manifestement embarrassés, mais ils abandonnèrent le sujet. En guise de conclusion, Cramoisi se lança dans un laïus grandiloquent :

« Très chers amis, le succès de votre mission, comme le prestige de notre université en dépend. Je dirais même plus, il en va du prestige de la Pologne !

— N’exagère pas, tout de même, marmonna Pull.

— Passons, poursuivit Cramoisi. Ces messieurs savent ce qu’ils ont à faire et nous nous restons en contact. Ils peuvent s’attendre à notre visite à toute heure...

— ... du jour et de la nuit, termina le chef.

— Voire plus souvent ! » renchérit Pull qui retira ses lunettes.

Les visiteurs s’en allèrent. Le chef aussi. Bolek, Maniek, Waldek et Edek se retrouvèrent seuls. Leurs regards amorphes regardaient le matériel, les prototypes et les matériaux qui remplissaient le hall d’assemblage. Bolek tapa du poing sur la table un coup si fort que les chemises de documentation sursautèrent, mais le vaste hall d’assemblage ne résonna plus. Un oiseau quitta son abri sous la voûte, battit des ailes en traversant l’atelier et s’installa ailleurs sous le toit. C’était un pigeon gris comme le directeur de l’usine.

« Il faut régler le compte de ces oiseaux, dit Maniek, avant qu’y en ait un qui chie où y faut pas. »

À nouveau, le silence revint.

Ce fut Bolek qui n’y tint pas. Il était de ceux qui trouvent toujours moyen de mettre sur le tapis un problème qui soulève de vives émotions.

« Vous avez entendu ? Jour et nuit.

— Et après ?

— Autrement dit, on va trimer vingt-quatre heures par jour ?

— Qui a dit ça ?

— Le chef l’a dit.

— Il n’a pas dit ça. C’est Cramoisi qui a dit qu’on pouvait s’attendre à leur visite à toute heure du « jour et de la nuit », insista Bolek. J’ai tout de suite pigé ce qui se tramait.

— T’as pigé quoi ? Ils ne nous ont rien dit. Ils ont causé d’une université, de la ville de Plock, et tout ça pour ne rien dire. Ils ont parlé mais n’ont rien dit, fit Maniek.

— Le module doit aller rejoindre une station spatiale. Nous devons construire sa paroi en titane. Hé bé, nous voilà bien avec ça !

— On en a baisé d’autres, grogna Maniek. Au boulot. »

Ils s’assirent et rangèrent leur jeu de cartes dans un tiroir. Ils devaient d’abord se faire à l’idée que le bon temps de la glandouille était terminé. Ce qui n’était pas si

facile. Quand le travail manque, l'envie vient de travailler du matin au soir et toute la nuit, mais quand il vous tombe dessus, un rien devient énervant.

Le pigeon s'était remis à voler au-dessus d'eux et cela les agaçait.

« C'est pas des conditions dans cette usine, grinça Edek. Dans un pays normal, on fait venir des chats quand y'a des souris et des éperviers quand y'a des pigeons !

— À trop savoir de trucs, il va t'arriver des bricoles, marmonna Maniek. Demande-toi plutôt comment faire pour pas perdre le Championnat d'Europe à cause de ce foutu travail.

— On ne va pas le gagner, c'est sûr, rétorqua Edek d'un air sombre. Pas avec Papelniak comme gardien de but. Le sélectionneur a pris Papelniak. »

Après un bref silence, Edek ajouta :

« Vous avez remarqué que ceux de l'université, ils n'ont pas donné de délai ? »

Bolek, Maniek, Waldek et Edek devinrent pensifs car tout dépendait des délais, précisément. Maniek sortit un calendrier pour vérifier quels jours et à quelles heures avaient lieu les matchs de qualification.

« Et si... comment faire ? lança brusquement Maniek comme s'il venait de faire une découverte. Au lieu de venir au boulot pour huit heures, si on venait pour six heures ? Pour le chef, ça changera rien, il va peut-être se laisser convaincre ?

— Le problème, c'est qu'il trouve toujours à redire, objecta Edek. Il est toujours contre, ce plouc. Tu vois ça comment, toi ? Tu t'imagines qu'à cause du Championnat, il va se lever deux heures plus tôt ? Cette couille molle n'y connaît rien au foot. »

L'idée de commencer le travail plus tôt était bonne. L'idée était même excellente. C'était l'une des meilleures idées qui leur était jamais venue. Elle n'en était pas moins bougrement difficile à réaliser. Le chef du hall d'assemblage était un homme raffiné et soigné. Il prenait une heure pour se raser, deux pour se baigner, trois pour déjeuner, dix pour dormir. Chaque soir, son épouse lui épilait les poils du nez. Rêvait-il de jouer dans un film ? Voulait-il se trouver beau en se regardant dans le miroir ?

« Bon, y faut agir ou tout va partir en eau de boudin, déclara Waldek, tu as son numéro sur ton portable, Bolek ? Appelle-le, mais montre-toi subtil. »

Bolek sortit son téléphone du fond de sa poche et appela. Les autres, très tendus, observaient son visage qui passait de la grimace au sourire forcé comme si le chef était devant lui et l'impressionnait.

« Du calme, murmura Waldek, branche le haut parleur.

— Chef, on a un problème. Un problème très grave, articula Bolek avant de brancher le haut-parleur pour que ses camarades aient droit à toute la conversation.

— Je suis en réunion, répondit le chef dont ils entendirent résonner la voix dans l'appareil.

— Réunion ou pas, reprit Bolek qui lança un regard à ses camarades, on a un problème de taille ici et on voudrait que vous veniez vite. »

Il y eut un déclic, le chef avait raccroché sans un mot de plus.

À peine Bolek avait-il rangé son portable que le chef pénétrait dans l'atelier. Il ne devait pas être loin, vu qu'il bouclait sa ceinture, vérifiait la fermeture éclair de son pantalon et s'assurait de son aisance dans celui-ci d'un mouvement bref de son arrière-train.

« C'est quoi ? » fit-il, l'esprit manifestement embrouillé. Il semblait tiré du lit et encore en proie à des vertiges.

Pour Bolek, Maniek, Waldek et Edek, l'enjeu, ce n'était pas seulement le travail de nuit mais, chose bien plus importante, le temps libre chaque après-midi de tout le mois de juin, jusqu'à la Finale. Or, comme Waldek était le seul à être doué pour les négociations, ses camarades le propulsèrent en avant.

« C'est quoi ? répéta le chef dont le regard fuyait celui de Waldek.

— C'est que Cramoisi s'est planté, malheureusement, répondit Waldek.

— Comment cela, il s'est planté ? fit le Chef, pas encore revenu à lui. Quel Cramoisi ?

— Celui qu'a expliqué la soudure.

— Vous voulez parler du professeur Andrzej Bielicki ?

— Bielicki, si vous voulez. Il s'est planté pour Saturne.

— Comment cela, il s'est planté, putain ?

— Quand j'ai parlé des unités de mesure, Cramoisi, il a pâli. Parce qu'il a compris qu'on savait.

— Que vous saviez quoi ? » demanda prudemment le chef avant de s'essuyer le front.

Le moment était décisif. Il fallait le jouer avec précision, avec un sens aigu de la psychologie des Chefs.

— C'est comme vous voudrez. Nous on peut ne rien savoir. Comme vous le sentez, déclara Waldek avant de lancer un regard victorieux à ses collègues qui, la tête tournée vers la voûte du hall, avaient la mine d'un idiot surpris en train de réfléchir.

— Vous savez quoi ? demanda le chef à nouveau, avec l'espoir qu'ils ne savaient rien.

— Ce qu'il faut savoir. On nous file un travail spécial et on nous cache ce que c'est comme travail, dit Waldek qui s'interrompit brièvement pour ménager son effet. Vous ne savez pas que prendre les ouvriers pour des cons provoque une baisse qualitative du travail ?

— Qu'est-ce qui provoque quoi ? Vous devez suivre les plans et point barre, se fâcha le chef. Le reste ne vous regarde pas.

— Ça nous regarde.

— Bon, suffit Jankowski, arrêtez de faire le malin, venez-en au fait, je suis pressé.

— Qui va se faire pendre par les couilles si quelque chose rate ? Pas nous, chef. Un module de la station spatiale, hein ? Le responsable, c'est le chef. Pas nous.

— Pas du tout ! protesta le chef qui se voulait ferme, mais le doute perceptible dans sa voix encouragea ses hommes à poursuivre. De quoi s'agit-il ?

— Je vais vous le dire si vous insistez. Voilà. À partir de demain, on vient travailler à six heures du matin. Six heures pile.

— Le règlement dit que le travail commence à huit heures», répondit le chef en tournant les talons pour s'en aller.

Waldek le stoppa d'un profond raclement de gorge.

« Quoi encore ?

— Vous serez du voyage spatial ? Destination Mars, peut-être ? lança Waldek qui partit d'un gros rire.

— C'est une Mission, messieurs ! s'écria le Chef qui s'en voulut aussitôt d'avoir laissé échapper une parole de trop.

— Une mission ? C'est quoi cette paroi de module qu'on doit faire ? Un module de quoi d'abord ? interrogea Maniek. Qu'est-ce qui va se passer si on foire la paroi ? »

Le chef se devait de réagir. L'agence spatiale n'avait pas choisi l'usine au hasard. Son choix s'était porté sur cette usine avec ses ouvriers, son responsable du hall de montage et donc précisément cette équipe. Or, s'il en était ainsi, l'intérêt professionnel et personnel du chef était impliqué. Du silence de tous dépendait la notoriété de l'usine.

« Sept heures, répondit-il au bout d'un moment.

— Trop tard, marchand Waldek. À sept heures, on ne tiendra pas les délais. Six heures, c'est obligé.

— Vous devrez aussi travailler de nuit. Je suis en train de faire les emplois du temps, dit le chef qui ne s'en laissait pas compter, mais qui, à son habitude, mollissait un peu. Six heures trente.

— Va pour six heures quinze et top là. Vous savez comment c'est, chef. Le directeur va nous demander ce qu'on pense du sérieux de notre chef, si on a à se plaindre, si tout baigne. C'est comme ça, déclama Waldek plein d'attention.

— Entendu. Six heures quinze, mais pas une minute avant », conclut le chef en se passant la main sur le front. Il remua nerveusement les épaules car tout à coup son costume le serrait. Il avait trop chaud.

— Vous voulez qu'on ouvre une fenêtre ? » demanda Edek, toujours plein de dévouement.

La raillerie n'échappa pas au chef, mais il préféra ne pas réagir. Il poussa donc un soupir, soulagé qu'il était de les voir disposés à travailler. La fatigue marqua les traits de son visage, il baissa les paupières. Il en avait assez d'affronter ses ouvriers – leur union faisait leur force –, mais dans le même temps, il se dit qu'ils allaient respecter l'accord et accomplir leur tâche sans en piper mot à personne. Il se dirigea donc vers la porte d'un pas rapide. Lorsqu'il la claqua derrière lui, Bolek, Maniek, Waldek et Edek se précipitèrent vers la table pour en balayer d'un revers de manche les graphiques. À la place des documents tombés à terre, ils étalèrent la carte du Championnat d'Europe des Nations. Chacun d'eux avait son idée des stratégies à mettre en œuvre et voulait l'expliquer. Ils criaient à qui mieux mieux pour donner leur avis sur tel entraîneur ou tel autre joueur.

« Je sais ce que je sais, déclara Bolek, si l'entraîneur met Kawiar contre les Croates, avec Malewski en défense, on gagne.

— Du calme, les gars, ajouta Waldek, y'a encore une semaine jusqu'au premier match !

— Ce qui compte, c'est que la Pologne se qualifie, dit Waldek. Pour l'heure, y vaut mieux pas chercher à savoir ce qui va se passer en quart de finale ! »

Tout alla comme prévu. Dès le lendemain matin, ils furent tranquilles de six heures à huit heures du matin. Comme ils l'avaient prévu, le chef n'arrivait que vers neuf heures. Bolek, Maniek, Waldek et Edek pouvaient jouer aux cartes, discuter des matchs et boire leur bière du matin sans craindre qu'une pointure passe à l'atelier et les fasse mettre à la porte. Parce que des choses pareilles arrivent : pour trois fois rien, on vous vire de votre boulot, juste comme ça, histoire de vous rappeler qui commande !

Traduit du polonais par Maryla LAURENT

Piotr MÜLDNER (1946) vit et travaille à Varsovie où il enseigne à la Faculté de Médecine et à l'Institut de philologie polonaise de l'Université Wszechni. Toute sa vie, il a été le médecin du milieu littéraire de la capitale polonaise tout en étant, lui aussi écrivain. Il est l'auteur de

plaquettes de poésie dont *Huit poèmes sous la tente* (1975), *Découverte humaine* (1978), *Thrène pour ma femme* (2001); de romans dont *Le Dormeur de la ville* (1983), *Le Diable place du Sauveur* (1990), et de récits. Il excelle dans les formes courtes comme les soixante pièces dramatiques mises en onde par la radio polonaise. Son dernier livre de nouvelles, *Une seule et unique fois* (2007), où le fantastique surfile l'approche concrète de l'homme apportée par la connaissance médicale, est reconnu comme un chef d'œuvre d'écriture. Dernier médecin humaniste tels ceux qu'il a répertoriés dans son ouvrage *Les attitudes médicales dans les romans* (1976), il est également l'auteur de trois dictionnaires importants dont *Le Grand dictionnaire phraséologique de la langue polonaise* (2003) qui lui a valu la reconnaissance unanime du milieu linguistique universitaire.